

## Pogromca sikor.

Na imię mu było Alojzy i brzydki był jak grzech wielkopiątkowy. Mówił o sobie, że jest „pogromcą sikor“, narażając się przez to na pośmiewisko ludzi.

— Co ci powiedziały sikory? — pytano go. — He! ich widział?

— Ze trzydziści przynajmniej. Po jednej codziennie mniej więcej — odpowiadał, głęboko wdychając — a wszystkie mówiły mi to samo, że jest w górach wielka sikora, o wiele większa od Strasburskiej. Skoro się obudzi, przyjdę uprzedzić, ale może być zapóźno.

Od trzech już lat przepowiadał w ten sposób rzeczy straszne, którym nie dawano wiary oczywiście, pomawiając go o brak piątej klepki, z powodu Józefiny Müller. Miał pono zamysły na tę hożą, dobrze zbudowaną pannę o włosach jak len białych, która aż do ziemi przysiadła na wiadomość o zamiarach „pogromcy sikor“, wyszła zamąż za lokaja hotelowego w Strasburgu.

Ja wszakże nie podzielałem ogólnego zdania.

Pewnego wieczoru — około godziny jedenastej — siedzieliśmy w szynku przy kieliszku. Alojzy, podchmielony nieco, wodził bezmyślnym wzrokiem wokoło, podczas gdy Edward Karel wraz z Zygmuntem Prunelem szturchali go w bok, aby się odciął od swych idjotycznych marzeń, jak się wyrażali. Wziąłem go więc pod rękę i wywodziłem na ulicę, zamierzając towarzyszyć mu do domu jego matki, wdowy Milcot.

— Nie otworzy mi, Hansel — rzekł, trzęsąc głową. — Noc czarna. Ale znam ścieżki. Za cztery godziny będę tam wysoko, wraz z sikorami.

— Zawsze te sikory! — huknąłem na całą uśpioną Freland.

— Dobrej nocy, Hansel — szepnął Alojzy, spuściwszy nisko głowę.

— Nie gorączuj się. Do miłego widzenia.

Długo słyszałem jego grube obuwie, wlokące się po drodze.

Zal mi się zrobiło nazajutrz mego uniesienia. Byliśmy w połowie września. Pod pozorem sprawdzenia, czy ludzie nasi popełnili stada na wschodnie stoki dla ochrony przed północnymi wiatrami, wyruszyłem wczesnym rankiem w stronę wąwozu, oddzielającego jezioro Białe od Czarnego. Jest to skalisty zakątek, który należy omijać w nocy. Usłyszawszy niebawem głos mego biednego Alojzego, zawodzącego jakąś pieśń pasterską, posuwałem się dalej w tym kierunku. Po dość długim marszu znalazłem go wreszcie, siedzącego spokojnie na kamieniu z nogami zwieszonymi nad przepaścią, gdzie ciągnie się smutna tafla zwierciadłana Czarnego jeziora. Nie ruszył głową nawet, kiedy usiadłem obok niego.

Milczeliśmy długą chwilę. Przerwał ją Alojzy słowami:

— Cieszę się, żeś przyszedł. Myślałem, że gniewasz się na mnie...

— Słuchaj, Alojzy! Miej zaufanie do mnie, twego towarzysza szkolnego. Nazywałeś mnie jeszcze Hansel, jak dawniej... Ja nie jestem Edwardem Karelem, ani Zygmuntem Prunelem... Nie udawaj głupiego przede mną... Powiedz, dlaczego nazywałeś siebie „pogromcą sikor“?

Zmieszał się i spuściwszy dłoń z ramienia mych na swoje kolana szepnął:

„Te sikory nie są ptakami.“

Nagle jednak odezwał się głośno, skandując każdy wyraz:

— Ja nic nie powiedziałem. Zadużo raczej. Nie troszcz się o to, że inni drwią ze mnie. Tak trzeba.

Nie nastawałem, znając jego upór. Nie mogłem wszakże oprzeć się teraz wrażeniu, że Alojzy wie coś, czego my nie wiedzieliśmy wszyscy; coś czego wiedzieć nam nie wolno.

W chwili, kiedy ścisnąłem mu dłoń na pożegnanie, sięgnął do wewnętrznej kieszeni swej nędznej bluzy i wydobyl starą książeczkę o rogach zaokrąglonych i zniszczonej okładce.

— Oto książka, zawierająca prawdę — rzekł, podając mi ją. Nagle jednak włożył ją z powrotem do kieszeni i kiwnął mi głową na dowidzenia.

Pewnej burzliwej nocy potężny głos ludzki i koński galop wyrwał mnie z snu. Podskoczyłem do okna. Słychać było huk w górach, od strony jezior. Mężczyzna na koniu oddalał się, ale zew jego unosił się nad naszymi domami:

„Paivis! Hachimette! Orbeg! Freland! Uciekajcie! Uciekajcie! Uciekajcie! Zmarłychwstanie ognia!“

Schodzę nadół. Całe Freland z domów wyległo na ulicę. Żandarm Beckermann trzyma papier w rękach; Bolger, sekretarz magistracki, przyświeca mu latarnią. Dzwon naszego kościoła rozlega się powoli. Beckermann czyta poważnie: Stan wojenny. Z rozkazu Jego Wysokości Cesarza i Króla. Wszyscy mężczyźni mający dziewięćnaście lat skończonych winni udać się niezwłocznie w stronę Colmaru.“

Po przeczytaniu urzędowego papieru Beckermann wybuchł gniewem:

— Niech mi w ręce wpadnie ten idjota ze swym warjakiem wyciem! Moja rzecz ogłosić wojnę, nie jego!

W oddali, na drodze, wglębioną w las, słyszeliśmy wciąż głos Alojzego, jak trąbę Sądu ostatecznego, jego przyspieszony bieg jak tętent jeźdźców Apokalipsy.

Reszta wszystkim wiadoma. Wielu z nas, zameldowanych u Beckermanna, poszło w stronę wąwozu Bonhomme.

Byliśmy zgubieni, mając odwrot odcięty. Wówczas to wyrosła nagle przed nami sylwetka Alojzego.

— Za mną! — krzyknął — do strumienia!

Usłuchaliśmy bez wahania. Brnąć po

kolana w wodzie, szliśmy za nim posłusznie

— Nie możecie zablądzić — mówił urywanym głosem — trzymajcie się strony północnej. Za dwie godziny będziecie w Bonhomme. Nie napotkacie straży granicznej.

Oczy jego stawały się szklane. Z wysiłkiem wydobyl z wewnętrznej kieszeni książeczkę o zaokrąglonych rogach i zniszczonej okładce.

— Dla Hansel... szepnął — w tej książce jest prawda.

Z temi słowami na ustach wyzionął ducha.

Po dwóch godzinach marszu w kierunku północy, poprzez gęstwiny, nietknięte stopą ludzką, osobliwy widok zjawil się naszym oczom: na urwistych skłonach górskich stał szereg armat, które kanonierzy francuscy celowali w dolinę, gdzie znajdowały się niemieckie wojska. Armaty wśród przepaści i odłamów skalnych, w lesie, w którym nie było dwóch kwadratowych metrów bez jodłowego korzenia!

— Na tyły, dzieci, jeśli nie chcecie zginąć! — wyrwał nas głos młodego porucznika z osłupienia.

— Niech żyje Francja! — odkrzyknęliśmy i posłuszni rozkazowi stanęliśmy za armatami.

W oczekiwaniu zaciągnięcia do wojska gromadka Frelandczyków otoczyła mnie. Wyjąłem z kieszeni książeczkę Alojzego. Między pierwszemi kartkami znajdowały się dwie koperty. Na jednej z nich były słowa: „Otworzyć najprzód“. Rozłożyliśmy dość duży arkusz papieru z nagłówkiem: „Ministerstwo Wojny w Paryżu“ przeczytałem głośno: „Właściciel tego listu jest wciągnięty za numerem 512 do naszych aktów. Wszystkie władze francuskie wzywają się: 1) Do ułatwienia mu jego misji wszelkimi posiadanymi środkami; 2) Do wykonania dyrektyw z jego ręki. Jest to człowiek, cieszący się naszym nieograniczonym zaufaniem, który nie chciał nigdy przyjąć pieniędzy.“ U dołu: pieczęć.

Pułkownik komendant 2-ego Oddziału Ministerstwa Wojny.

Podpis nieczytelny.

Otworzyłem drugą kopertę:

„Hansel, powiesz mieszkańcom Frelandu, Hachimette, Paris i Orbey, że w ciągu ostatnich trzech lat nocami z pomocą oficerów artylerji francuskiej przebraanych za drwali lub furmanów przewoziłem na miejsce nieznane i niedostępne armaty, ażeby jak godziła zmarłychwstania ognia wybiły je, kolumny niemieckie nie mogły podejść do naszych wiosek. A jeśli chcesz, Hansel, le wiedzieć, dlaczego nazywałem siebie „pogromcą sikor“ otwórz książeczkę na stronie 212“....

Przeczytałem ustęp z kroniki Kuenasta: „Strassburg posiadał wielką armatę, mającą kształt śmigownicy i ozdobioną łuską z brązu. Niosła, daleko. Nazywano ją „Sikora“.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI

Łódź, dnia 28 lipca 1929 roku.

№ 30

## Polacy Amerykańscy w Łodzi.



W ubiegłym tygodniu bawiła w Łodzi przybyła do Polski z za oceanu wycieczka Polaków amerykańskich. Goście okazali wiele zainteresowania i podziwiali amerykańskie tempo życia polskiego Manchesteru, widząc w Łodzi wielkie miasto przyszłości. Na zdjęciu powyższym grupa uczestników wycieczki w ogródku „Grand-Hotelu“. Fot. A. Mayer.

## TEATRALJA.

„Bolesław Śmiały“ w Teatrze Polskim. — Bilans sezonu. — Jerzy Courteline. — Drobiazgi teatralne.

Jako drugą sztukę z zapowiedzianego festiwalu letniego, wystawił Teatr Polski, w inscenizacji L. Schillera, dramat bohaterski Wyspiańskiego — „Bolesława Śmiałego“. Wiadomo to miało być odtworzone według oryginalnych pierwowzorów twórcy, co w praktyce okazało się rzeczą bynajmniej nie łatwą. Jak słusznie zauważył jeden z krytyków stołecznych, klucz do teatru Wyspiańskiego nie został jeszcze odnaleziony. Dlatego też inscenizacja jego utworów scenicznych następcza wciąż dla reżyserów ogromne trudności, którym nie zawsze sprostać mogą nawet pietyzm najgłębszy i zapal gorący. Odtwarzanie na scenie Teatru Polskiego „inscenizacji Stanisława Wyspiańskiego“ było wogóle pomysłem chybnym wszelkie bowiem naśladowanie i reprodukcje pewnych form scenicznych, związanych najściślej z koncepcją i indywidualnością autora, bez udziału tegoż — jest z konieczności ryzykowne i zawodzi, przy naj lepszych nawet chęciach. Wspaniała poetycka wizja historycznego sporu pomiędzy królem a biskupem, tak swoiście przez Wyspiańskiego naświetlona, wymaga szczególnej go stylu gry i wystawy, ten zaś osiągnąć by się dał dopiero po dłuższym czasie możliwych prób i studiów.

„Bolesław Śmiały“ w Teatrze Polskim jest przedstawieniem niewątpliwie interesującym, jako obraz pewnego etapu w dążeniu do osiągnięcia stylu, o którym piszemy. Ale ten etap daleki jest jeszcze od mety końcowej; dlatego też inscenizacja Schillera wzbudziła w prasie warszawskiej tak wiele wątpliwości i zastrzeżeń. Tak samo zresztą, jak i gra aktorów, z których bodaj tylko p. Jamosza-Stępowski (Biskup) zyskał jednomyślne słowa pochwały. Nie znaczy to jednak, by można było pominać milczeniem nazwiska pp. Adwentowicza (Król), Pancewiczowej (Krasawica) i Strachockiego (Sieciech), — nie mówiąc o pozostałych, dzielnie dźwigających — każdy odpowiedzialną część — ciężar reprezentacyjnego przedstawienia.

Jak zwykle o tej porze, w „antrakcie“ pomiędzy starym a nowym sezonem, czyniony jest wszędzie bilans zasług i grzechów teatralnych; ku zbudowaniu i ostrzeżeniu dyrekcji w sezonie następnym. Godzi się i na tem miejscu wspomnieć choć w krótkich słowach, w sumarycznych rzutach, działalność teatrów polskich w roku 1928-29. Zaczniemy od pierwszej sceny polskiej — Teatru Narodowego w Warszawie. Wystawił on ogółem osiem premier z tego sześć polskich, mianowicie: „Dziękuję za służbę“ — Perzyńskiego, „Pana Jowialskiego“ — Fredry, „Lelewela“ — Wyspiańskiego, „Nową Dejanirę“ — Słowackiego, „Batorego“ — Szpotkańskiego i „Radziwiłła Panie Kochanku“ — Kraszewskiego. Z obcych autorów — Claudela — „Spoczynek dnia siódmego“ i Wilde'a — „Brata Marnotrawnego“.



Strażacka drużyna radomska, która zdobyła mistrzostwo Polski na ogólnokrajowych zawodach strażackich w Poznaniu. Zdjęcie wykonane na tle trybuny widzów w Poznaniu. Wśród drużyny siedzą od lewej ku prawej stronie pp.: adiut. T. Pankiewicz, instruktor E. Gałka, dow. drużyny B. Wójcik, insp. W. Kula z Łodzi, kom. M. Świderek, prezes Woj. Zw. Mniewski z Łodzi prezes J. Szwedowski, kom. V oddz. straży kółkiewicz inż. Brzozowski, laureat Turynu, st. instr. E. Nowakowski z Warszawy, pom. dow. Tkacz, instr. Bugaj. Na dole puchar wraz z wstęgami, obok z prawej strony top. Chutkiewicz, który pobili rekord okręgu warszawskiego wchodzenia po drabinie. Fot. A. Mayer.

Pomimo udziału w wymienionych przedstawieniach takich asów aktorskich, jak Solski, Solska-Grosserowa, Frenkiel, Osterwa i Węgrzyn, żadne z widowisk Teatru Narodowego nie stało się ewenementem artystycznym, o poważniejszym i trwalszym znaczeniu. Staranność i poprawność — oto wszystko, co da się powiedzieć o ogólnym poziomie Teatru Narodowego w kończącym się sezonie. Niektóre eksperymenty repertuarowe okazały się zupełnie chybnymi, a do takich zaliczyć należy wystawienie „Radziwiłła Panie Kochanku“ oraz „Spoczynek dnia siódmego“.

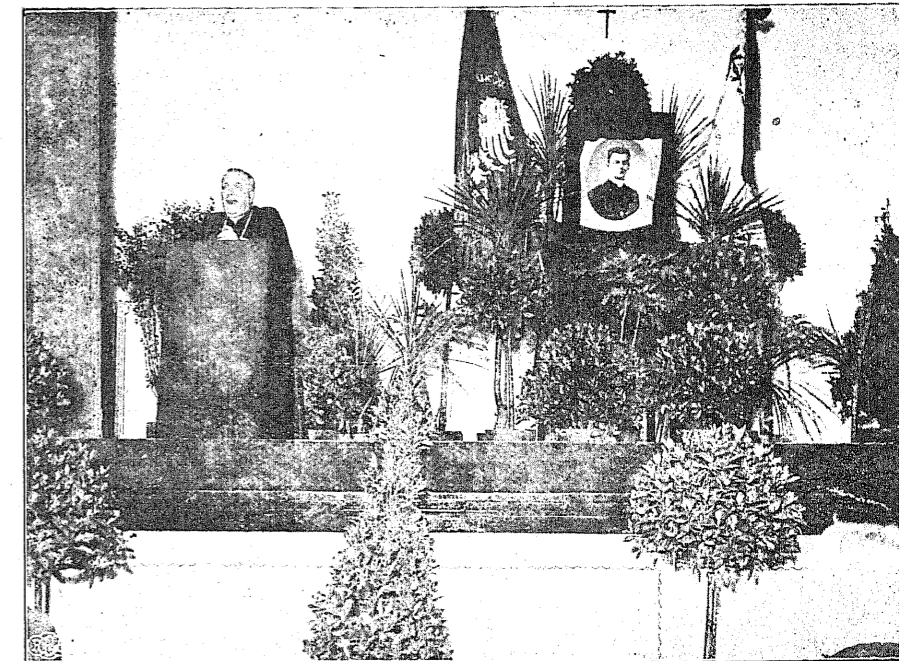
Pozostawiając inne teatry warszawskie do omówienia w jednej z najbliższych kronik tygodniowych, wspomniemy dziś jeszcze w paru słowach o dzielnym teatrze bydgoskim, który w ub. miesiącu zamknął na czas letni swe podwoje. W sezonie 1928-29 teatr w Bydgoszczy dał ogółem 325 przedstawień, w tem dramatu 156, operetki 151 i 18 imprez obcych. Dawano przeciętnie dwie premjery na miesiąc: jedną dramatu (lub komedji) i jedną — operetki. W dziele dramatu na 13 premjer było 11 polskich i tylko 2 obce. Zespół artystyczny, pod kierownictwem dyr. Stomy, składał się z 43 osób. Teatr bydgoski posiada 743 miejsc; przeciętna frekwencja w sezonie ubiegłym wynosiła 65 proc. Od dnia 15 czerwca do dnia 1 września teatr bydgoski daje przedstawienia w Ciechocinku, ciesząc się tam stałym powodzeniem.

Zmarł niedawno w Paryżu, po amputacji nogi, popularny i znakomity autor wielu komedji, fars, nowel, opowiadań itp. — Jerzy Courteline. Jego „Boubourouche“ zaliczony został do utworów klasycznych, grywanych przez Comédie Française. Właśnie w wigiliję pogrzebu Courteline'a grano tę komedję, a osobiście entuzjastyczny nastrój, z jakim ją przyjęła publiczność, był dowodem tego, iż dzieło żyć nie przestaje, choć twórca scho dzi do grobu. Courteline posiadał niewyczerpane zasoby komizmu, istotnego i żywiołowego, którego cząstki tkwią w tak popularnych opowiadaniach, jak „Ronds de cuir“ (z życia biurokracji) lub „Les Gaietés de l'Escadron“ albo „Le Train de 8 h, 47“ (z życia wojskowego). Aczkolwiek, w zaraniu kariery nisarskiej Courteline'a, krytyka zajmowała się nim bardzo skąpo, pełna humoru i pogody pisarz trafił szybko do serc szerokiej publiczności, stając się jej ulubionym towarzyszem. Członek Akademii Goncourt'ów i wielu innych korporacji literackich, Courteline ceniony był wysoko również w sferach kolegów po piórze, a unosił tak krytyczny i sceptyczny, jak Anatola France'a, wynalazł nawet ciekawą definicję dla twórczości Courteline'a, nazywając go: „Kieszonkowym Moliere'm“.

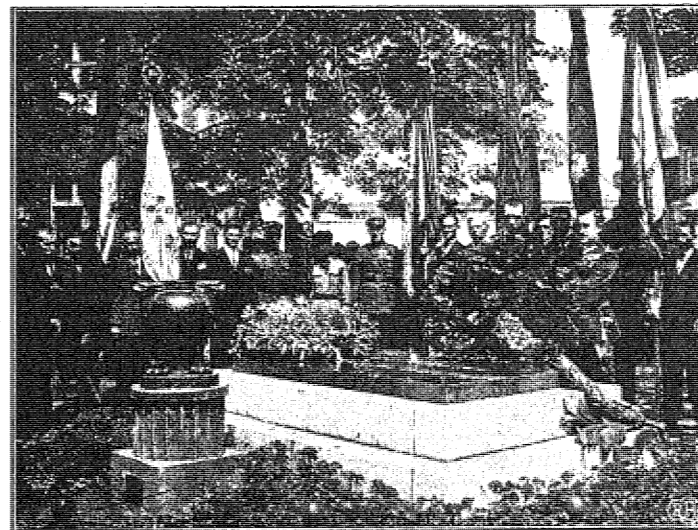
Delta.



Wybitny uczony filozof i publicysta polski, dr. Mieczysław Duklę, współpracownik naszego pisma w Genewie, odznaczony został przez rząd francuski stopniem oficera Akademii.



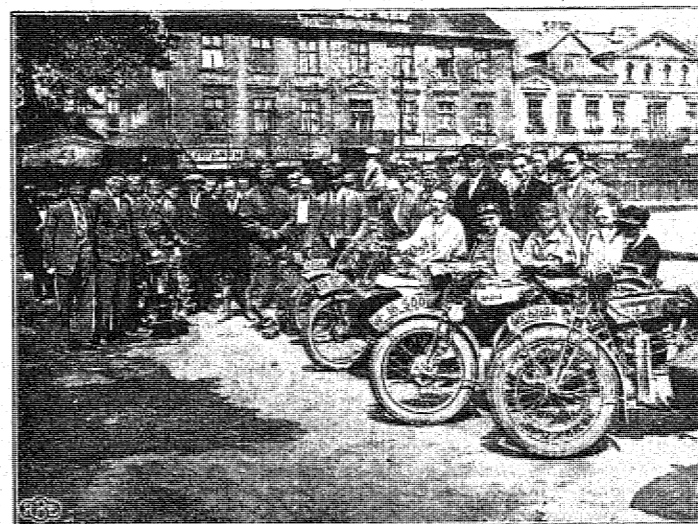
W ubiegłą niedzielę w sali Domu Ludowego w Łodzi, odbyła się uroczysta akademja żałobna ku czci s. p. ks. prałata senatora Jana Albrechta. Powyżej widzimy J. E. ks. biskupa dr. W. Tymienieckiego, przemawiającego na podium.



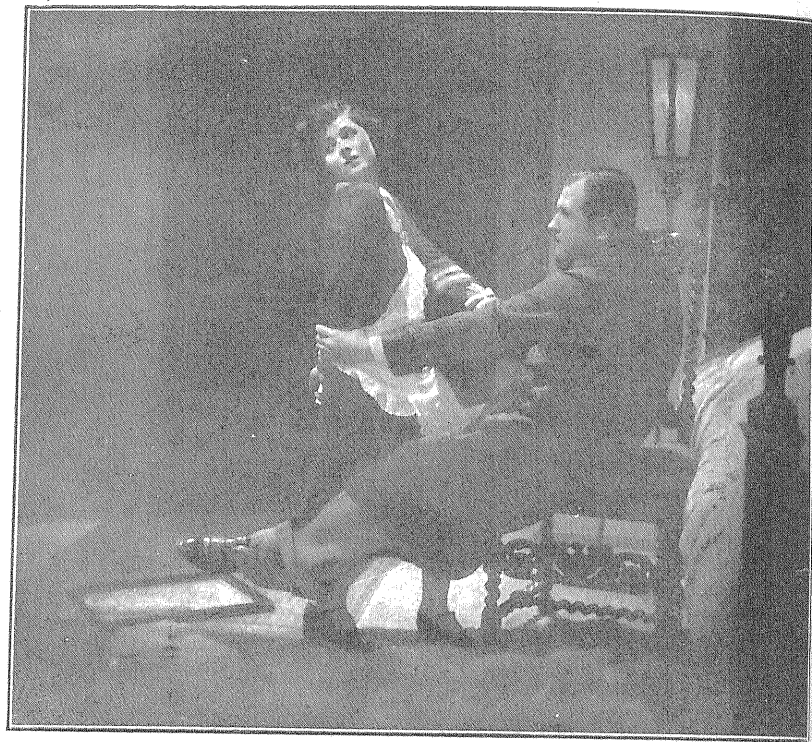
Z inicjatywy Komitetu Wojewódzkiego Ligi Obrony Powietrznej Państwa odprawione zostało w katedrze żałobne nabożeństwo za spokój duszy bohaterskiego pilota s. p. majora Idzikowskiego. Powyżej delegacje składające wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza.



W ubiegłym tygodniu na Placu Reymonta w Łodzi miał miejsce wypadek tramwajowy. Powyżej widzimy przewrócony wagon tramwajowy, który wywrócił się wyskoczywszy z szyn.



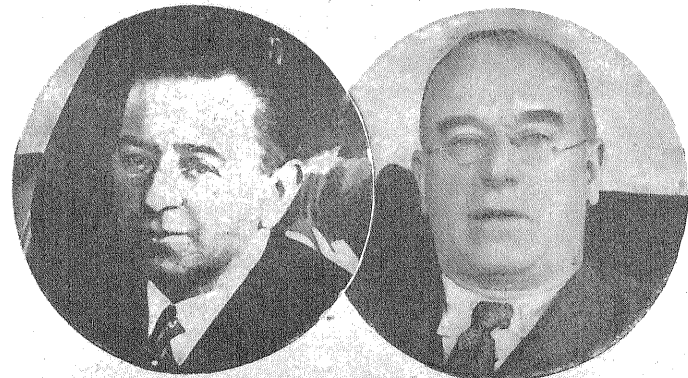
W dniu 21 b. m. odbył się w Łodzi motocyklowy zjazd gwiazdzysty. Już w przeddzień ze wszystkich stron kraju przybywali do Łodzi motocykliści. Powyżej od strony lewej widzimy gości warszawskich, na prawo zaś grupa wszystkich motocyklistów, biorących udział w zjeździe. Fot. A. Mayer.



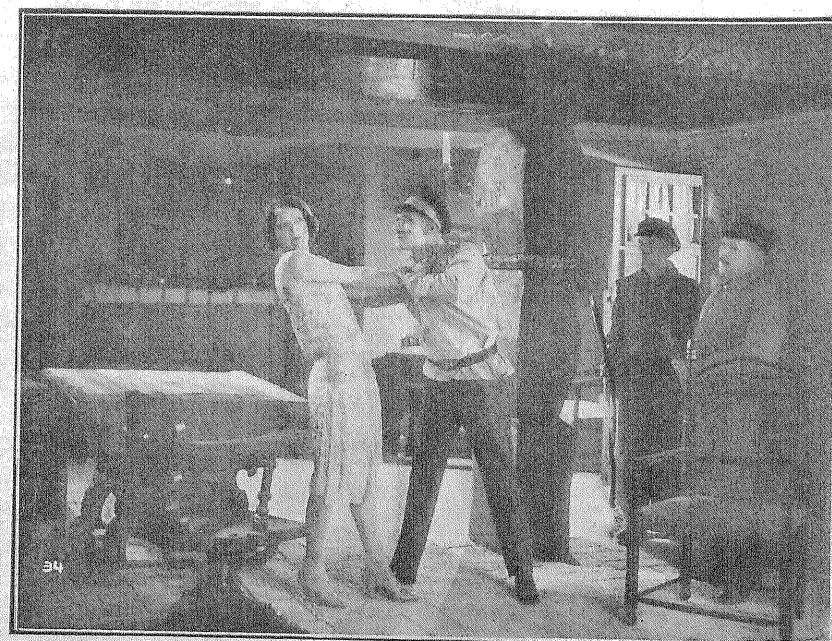
Harry Hardt i Eliza La Porta dali dwie mocne kreacje w obrazie p. n. „Spadkobierca Casanovy”



Trzy fragmenty nowego filmu wytwórni „Universal”, w którym czołowe role odtwarzają Mary Philbin, Fred Machaye i Otis Harlan. Film nosi tytuł „Port marzeń”.



P. Maxwell, prezes „Bipu” w Londynie i P. Handel, dyr. „Saschy” w Wiedniu.



Mary Parker i Alfred Abel w filmie „Milcz, serce, milcz!...” produkcji „Kolosu”.



Charles Farrell, niezapomniany bohater „Anioła Ulicy” i „Siódmego nieba” ukaże się w sezonie 1929/30 w następujących filmach: „Szczęśliwa gwiazda”, „Rzeka” i „Nasz codzienny chleb” reżyserji Murnau'a.



Pola Negri.



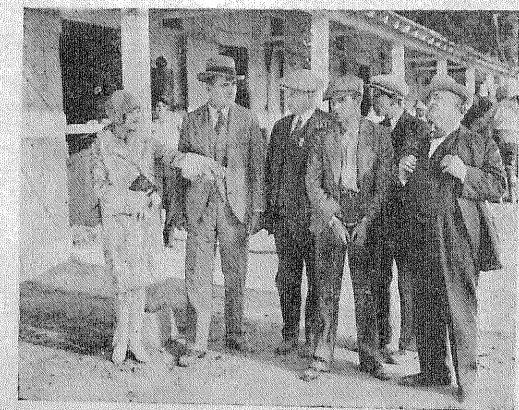
Ewementem nadchodzącego sezonu będzie występ Janet Gaynor (Ameryka) i Lucy Doraine (Europa) w filmie p. n. „Krystyna”.



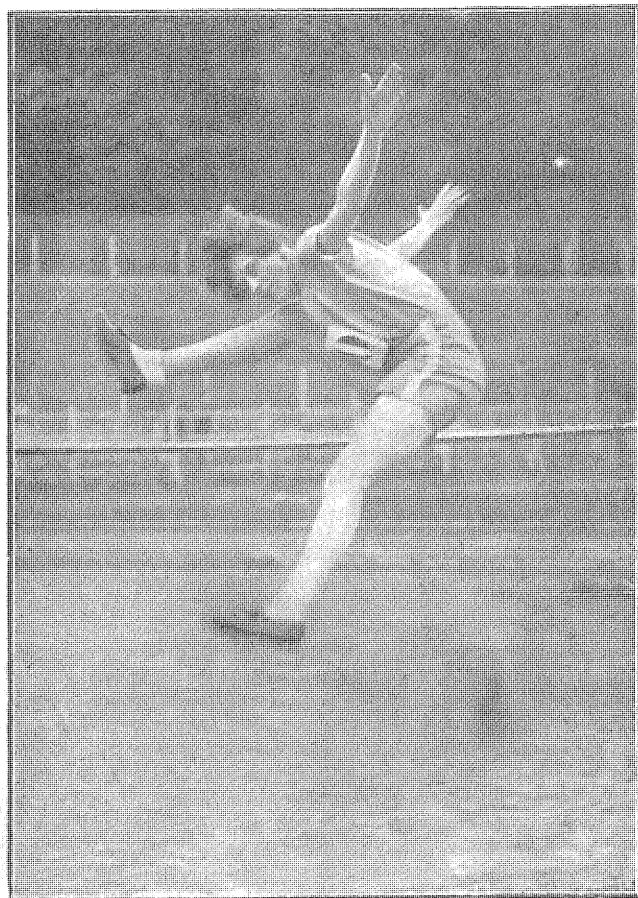
Aleksander d'Arcy nowa gwiazda męska „Bip'u”, który dał się poznać Łodzi jako „Powojenny mężczyzna”.



Joseph von Sternberg, jeden z czołowych reżyserów „Paramount'u”.



Marion Nixon, Imogena Robertson i Richard Walling tworzą świetny zespół w filmie „Rywalki”.



Słynna gwiazda francuskiego sportu lekkoatletycznego p. Patouillet uprawia skoki wzwyż.



Sport piłki nożnej uprawiany z zamiłowaniem przez młodzież w Warszawie. Na zdjęciu widzimy kobietę bramkarza w akcji.



P. D. Vlasto zdobyła drugie miejsce w tenisie olimpijskim.



Grupa boksejskich mistrzów w Krakowie.

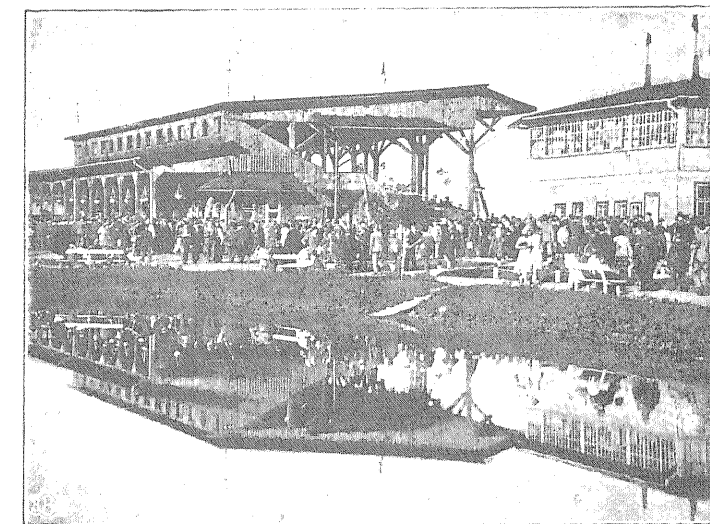


Dźwięk gitary z mandoliną. Podwórza posesyj łódzkich odwiedzają nieomal codziennie przygodni grajkowie, którzy w ten sposób zarabiają na swe utrzymanie. Powyżej zespół przygodnych grajków.



Oto jak wygląda obecna stara Łódź, a więc dzielnica, z której rozwinęła się Łódź dzisiejsza. Charakterystyczne obrazki ze Starego Miasta. Na lewo kramy kupieckie, na prawo zaś t. zw. czarna giełda.

Fot. A. Mayer.



Z toru wyścigów konnych w Rudzie Pabjanickiej. Na zdjęciu widzimy trybunę widzów, położoną nad stawem oraz licznych zwolenników „totka”.



„Potęga namiętności” według Karin Michaelis, ma na ekranie świetnych odtwórców w osobach Asty Nielsen i Waltera Rilla.



Carl Laemmle, prezes wytwórni „Universal”, Topsy i Ewunia podczas zdjęć do „Chaty wuja Toma”.

## Czcij ojca twego i matkę swoją...

Diana. (Dwadzieścia pięć lat).

Paulina. (Sześćdziesiąt lat).

Godzina dziewiąta z rana, u Diany, Pięknie umeblowana sypialnia. Diana leży w łóżku. Dzwoni. Paulina wchodzi.

Diana. I cóż. Gdzie jest biała kawa?

Paulina. A jakże, a jakże! Za dwie minuty będzie podana.

Diana. Dlaczego nie zaraz?

Paulina. Bo nie byłaby dobrą.

Diana. Zawsze zapóźno! Zawsze!

Paulina. Albo to prawda?!

Diana. Daj no mi zegarek. Tam, na kominku.

Paulina. A jakże, a jakże! (Podaje zegarek).

Diana. Kwadrans po dziewiątej! A wiesz dobrze przecież, że jadę dziś konno!

Paulina. Żeby kark skrócić.

Diana. To moja rzecz. Ach! Fakt, że jestem niezadowolona!

Paulina. Z czego? Z kogo?

Diana. Z ciebie, do licha! Słuchasz u mnie czy nie?

Paulina. Także pytanie! Widzisz chyba, że służę.

Diana. Żle.

Paulina. Ale, ale! Znajdź mi...

Diana. Co to jest? Co to znaczy?... Co mam znaleźć?

Paulina. Takie matki, jak ja, które chcą służyć u swoich córek?

Diana. Czy to nie wymówka przypadkiem?

Paulina. Broń Boże, ale rzecz, na którą pozwalałam sobie zwrócić ci uwagę. Tylko to.

Diana. Bo jeżeli wymówka... Wiesz przecież... Drzwi otwarte... O ile nie podoba ci się mój dom...

Paulina. Kto ci to powiedział?

Diana. Możesz go unikać. Nikt cię siłą nie zmusza...

Paulina. O, ja wiem, że radabyś przytrzymać mnie za słowo. Niema jednak o-bawy, moja córko, abyś się mnie pozbyła. Znadto ci jestem potrzebna.

Diana. Wcale mi nie zależy na tem, aby się ciebie pozbyć. To ty narzekasz.

Paulina. Niech Bóg broni. Uważam, że nie jesteś taką względem mnie, jaką być powinnaś. Ale nie narzekam.

Diana. I słusznie. Kto chciał być moją służącą? Ty.

Paulina. Oczywiście. I nie żałuję tego.

Diana. Przyznasz sama, że ja się sprzeciwiałam. Mówiłam ci, że nie wypada matce być służącą u córki.

Paulina. Tu czy gdzieindziej! Zawsze byłam na służbie.

Diana. Zapewne... A jednak jest różnica. Przypomnij sobie, co ci jeszcze mówiłam: „Moje warunki zmuszają mnie do przyjmowania różnych mężczyzn. Będziesz widziała wiele rzeczy, które boleć cię będą, jako moja matka“. Kto wie, czy nie źle zrobiłaś, nie słuchając mnie.

Paulina. Nie.

Diana. Skoroś chciała zatem, spełniaj swój obowiązek, jakgdybyś nie była moją mamą, bo jeżeli ja mam liczyć się z tem, żeś mnie na świat wydała, nie śmiałabym posłać cię po znaczek.

Paulina. Myślałby kto, że się krępujesz! Dość usłyszeć, jak się odzywasz do mnie przy ludziach. Jak do psa!

Diana. Ależ to dla oszczędzenia twej miłości własnej! Żeby się nikt, nie domyślił, że jesteś moją matką. POCO wtajemniczać obcych w nasze rodzinne sprawy? Ze też nie rozumiesz tego moja mamo!

Paulina. Ba... Gdybym miała twoją inteligencję...

Diana. Wzdychasz? Nie jesteś znów tak bardzo nieszczęśliwa, w gruncie rzeczy, bo jak jesteśmy same... Niema Pauliny.. tylko matka i córka. Zarabiasz przytem u mnie dwa razy więcej, niżbyś zarabiała gdzie indziej.

Paulina. Wszystko jedno tręc.

Diana. Na czem?

Paulina. Nie mogę cię okradać!

Diana. Masz za to napiwki od moich gości.

Paulina. Nie przeczę. Ale te pieniądze nie robią mi przyjemności.

Diana. Co chcesz? Dają ci je bez zamiaru ubliżenia ci. Nie wiedzą, jakie nicci nas łączą. Kiedy jednak niema nikogo, jestem przecież dobra dla ciebie: jadamy przy jednym stole, pozwalam ci sypiać obok mojej sypialni, nie wydzielam ci drzewa w zimie...

Paulina. To prawda. Ale też żadna inna służąca, nie zajmowałaby się twojemi sprawami tak gorliwie, jak ja.

Diana. Oczywiście. Jesteś uczciwa i bardzo oszczędna. Nie mogę się skarżyć, że zbyt mało szafujesz moim groszem.

Paulina. Wiem, że zarabiasz go... A przytem — rady moje i uwagi też coś wartę.

Diana. Tutaj nie masz słuszności. Wychodzisz ze swej roli, ilekroć chcesz wtrącać się do moich spraw sercowych. Przystajesz być na swoim miejscu, kiedy z nadto wnikaszk w moje życie.

Paulina. Skoro znam je nawylot, twoje życie, mogę mówić o niem!

Diana. Nie. Patrz, obserwuj... Oplakuj czasami, ale milcz, jak zaklęta. To świat podziemny, moi kochankowie dla ciebie. Powinnaś być ponad mim. Ja nie zapomnę, że jesteś moją matką i kiedy czasem wejść w twoją skórę, troskam się bardzo o twoją dumę, nie bój się!

Paulina. Dziękuję ci, wiem, że nie jesteś złą. Bądź co bądź, jakkolwiek jest, było i będzie — nie twoja w tem wina, ani też moja... Warunki... okoliczności... przypadek... Trzeba jednak trafiać! A jakże, a jakże!... Żyje się nie swoim właściwym, istotnym życiem. Nie mogę bowiem zaprzeczyć, że kiedy jestem sama w mojej kuchni i nad tem wszystkim rozmyślam, mówię sobie, że, prawdą a Bogiem powiedziawszy my obie, każda w swoim rodzaju, byłymy stworzone do innego życia; nie do tej pracy, której się oddajemy.

Diana. Może być, ale dajmy spokój tym argumentacjom. To filozofja — nudzisz mnie. Zamiast tyle gadać, przynieś mi lepiej moją kawę! Albo wiesz co!... Nie, nie chcę już kawy. Przynieś mi co innego.

Paulina. Nie chcesz już kawy? Ależ zmarnuje się.

Diana. Wypij ją za moje zdrowie.

Paulina. Ach, jakaś ty marnotrawna! Jaka rozrzutna! A gdybyś nie miała mnie?

Diana. Zawsze mam cię jednak. Dasz mi... dasz mi... małą lampeczkę madery. Przynieś mi do łóżka. A później przyjdiesz ze swą filiżanką; usiądziesz sobie tam, naprzeciwko mnie w błękitnym fotelu i... tracimy się.

Paulina. Jaka ty możesz być serdeczna i ujmująca, jeśli zechcesz!...

Diana. Tylko nie bądź mi „de profundis“, bo cię zaraz odeszł do twych garnków. Nie, bądź dobrą matką, pobłażliwą i wesołą.

Paulina. (Sadowiąc się w fotelu).—Masz swoją maderę. Nic ci nie brak? Masz wszystko?

Diana. Wszystko. A twoja kawa? Czy dobra?

Paulina. Bardzo dobra.

Diana. Brałaś cukier?

Paulina. Jeden kawałek.

Diana. Weź dwa, jeżeli chcesz. Nie krępuj się, słyszysz?

Paulina. (Dobierając drugi kawałek cukru) Bogu dziękować, jesteś teraz taką, jaką cię pamiętam, kiedy byłaś małą dziewczynką z ciemnymi lokami. Nie miałaś jasnych włosów wówczas...

Diana. Ho, ho, ho... jakie to dawne czasy! Wyobraź sobie, mamo, że kłacz, której dosięgę dziś rano nazywa się Berenice i że była własnością belgijskiego króla.

Paulina. Króla, powiadasz?

Diana. Tak, kochana moja kobiecino!

Paulina. Mówże, mów dalej, córko.

Diana. Oto historia, jak mi ją opowiedziano w maneżu: pewnego wiosennego dnia, kiedy belgijski król jeździł konno po polu z jednym ze swoich dworzaków... (etc., etc.).

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI

Łódź, dnia 4 sierpnia 1929 roku.

Nr. 31

## Łódź na Zjeździe Hallerczyków w Poznaniu.



W dniu 26 b. m. odbył się w Poznaniu walny zjazd Hallerczyków. Zjechali się rozproszeni po ziemiach całej Polski wszyscy niemal Hallerczycy, by wspólnie pod znakiem błękitnym wspominać o tych wielkich dniach chwały i zwycięstwa odniesionego nad przemocą naszych wrogów oraz zwycięstw odnoszonych wspólnie z żołnierzem armii sprzymierzonych dla wielkiej idei wolności i pokoju.

Powyżej widzimy poważną grupę uczestników zjazdu z generałem Józefem Hallerem (x) w pośrodku.

Fot. A. Meyer.